

Dyskusyjne kluby filmowe

Dążymy do poddania rozwoju kultury filmowej świadomej kontroli. Procesowi jej upowszechnienia staramy się nadać cechy racjonalizmu i stałego postępu. Tym większa w naszym społeczeństwie potrzeba refleksji nad społeczną funkcją dzieła filmowego. Na dobrą sprawę jedynymi poważniejszymi ośrodkami refleksji nad filmem są dyskusyjne kluby filmowe, wychowujące rozumne widza kinowego. Jest ich w Polsce przeszło 180; zrzeszają ponad 50 000 entuzjastów X Muzy. Jeżeli by jednak uwzględnić tych wszystkich, co kiedykolwiek z ruchem klubowym byli związani, to liczba dotkniętych filmowym bakiem wzrosłaby wielokrotnie.

Najwięcej, bo aż 19 klubów pracuje w Wrocławskim, natomiast Wielkopolska znajduje się na szarym końcu. Co prawda w samym Poznaniu istnieją dwa dobrze pracujące kluby: DKF „Kamera” i Studencki Klub „Kiciuś”, przy czym „Kamera” pracuje już 10 lat i należy do krajowej czołówki klubów-seniorów. Rzecz jednak w tym, że tu właściwie nasze osiągnięcia się kończą. Dochodzą nas tylko słuchy, że jakieś kluby istniały, ale już padły, inne zamierzają dopiero powstać. Są podobno jakieś kluby w Pile, Kościanie, Luboniu i Koninie, wiodą jednak żywot anemiczny. Nic o nich bliżej nie wiemy, poza tym, że figurują w rejestrze. Nie wiemy na jakich pracują zasadach, jak propagują swoje założenia, czy prelekcje wygłaszają w nich ludzie upoważnieni przez Federację? Czy są to rzeczywiste kluby filmowe, czy też zwykła kina, wykorzystujące sztyt klubowy dla uzyskania atrakcyjnych tytułów, przeznaczonych do wyłączonego rozpowszechniania w tego rodzaju placówkach?

Te sytuację trzeba jakoś wyjaśnić. Skoro mamy tych klubów zaledwie kilka, to aż dziw bierze, że ich przywódcy nie zawarli przymierza, by wspólnymi siłami uderzyć gdzie trzeba. Jeżeli „Kamera” czy „Kiciuś” mają duże osiągnięcia i spore doświadczenie, to dlaczego nie wykorzystują tego inne kluby? Uniknęłyby wielu rozczarowań i przykrych pomyłek. Czy nie należałoby zwołać pod egidą na przykład „Kamery” regionalnego sejmiku klubowiczów i zaprosić nie tylko przedstawicieli klubów już działających, lecz także tych, którym myśl zorganizowania własnego klubu spokoju nie daje? Wiemy doskonale, że Ostrów, Kalisz, Leszno, a także niektóre pomniejsze miasta Wielkopolski mają chłonną i wrażliwą widownię. Czy doprawdy nie ma tam grupy energicznych ludzi, którzy by potrafili zainicjować to zbożne dzieło?

Wspaniałą szansę dotarcia do nowego, masowego odbiorcy zyskują

tu przede wszystkim regionalne oddziały Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego. WTK sprzyja dotąd muzeum tradycyjnym, natomiast powabów tej najmłodszej, dziesiątej, w ogóle nie dostrzega. Na Kujawach jest lepiej, tamtejsze Towarzystwo Kultury patronuje nawet ogólnopolskiemu festiwalowi filmów amatorskich w Inowrocławiu.

Dziwimy się również i poznańskim zakładom pracy, że rezygnują z tak atrakcyjnej rozrywki, jaką daje dobry film. Mają piękne sale kinowe, mają świetlice, mają nawet własne domy kultury, nie mają jednak klubów filmowych. Myślę tu głównie o Stomilu i Zakładach Cegielskiego. Albo taka sprawa. Od kilku już lat w poznańskim Domu Kultury Kolejarska działa klub miłośników filmu „Zielony Semafor”: ambitny repertuar, prelekcje, co tygodniowe spotkania uczestników. Niby nic nie stoi na przeszkodzie, by przekształcić go w regularny dyskusyjny klub filmowy. Niby nie, a jednak wiele. Oto nowoczesnie urządzone kabinę projekcyjną zajmują od lat... archiwum DOKP. Planowana przeprowadzka kończy się na obietnicach. W sferze objętej pozostaje też zakupienie dla Domu Kultury Kolejarskiej aparatów projekcyjnych 35 mm, niezbędnych do wyświetlania filmów archiwalnych.

Upowszechnianie kultury nie znosi próżni. W przypadku nieobecności działacza kultury — inicjatywę przejmie ten drugi. Znalazł się na przykład pewien „organizator” ruchu klubowego: wpadł na zebranie kinomanów, oczekujących filmowych ośnień, odczytał gromkim głosem... statut klubowy, po czym pobral za fatygę złotych polskich dwieście.

Ruch klubowy jest ruchem ludzi ambitnych. Swoim uczestnikom sprawia przyjemność, a społeczeństwu przynosi realne korzyści, przygotowuje bowiem widza, o jakim marzą wszystkie nasze kina. Przy czym istnieją tu jeszcze korzyści bliższe, doraźne, oczekujące już bezpośrednio samych klubowiczów. Dyskusyjne kluby filmowe otrzymują mianowicie z kilku źródeł takie filmy, o jakich inni mogą tylko śnić po nocach. Tylko w klubach można obejrzeć Gary'ego Coopera w „Panu z milionami” Capry, czy Humphreya Bogart w „Skarbie z Sierra Madre” Hustona. Tylko w klubach wyświetla się zupełnie u nas nieznanne obrazy Bergmana: „Twarz”, „Okno zla”, „Wieżenie”. Tylko w klubach można zobaczyć pełny zestaw komedii wielkiego Chaplina. Tylko w klubach...

Niezbędne są wszakże trzy rzeczy: społecznie odpowiedzialna inicjatywa, opieka jakiegoś możnego patrona (zakładu pracy lub organizacji społecznej), nade wszystko zaś wiele, wiele zapala.

25 FRACHTOWCÓW

MLF = WSN

Maciej Olszewski

Wzrost projektu Wielostronnych Sił Nuklearnych twierdzą: WSN są niezbędne — potrzebne całemu NATO ze względów militarnych. Czy jednak choćby napełnienie realizacją projektu WSN może rzeczywiście doprowadzić do jakiegokolwiek zmiany układu sił pomiędzy NATO a Układem Warszawskim? Zachodni przeciwnicy koncepcji WSN odpowiadają zdecydowanie: nie.

Niewątpliwie flota 25 frachtowców (posiadających pod swym pokładem po 8 wyrzutni rakiet średniego zasięgu — nosicieli głowic termojądrowych) reprezentowałaby olbrzymią siłę niszczycielską. Jak wielką? Nietrudno obliczyć. Każda z głowic dla rakiet „Polaris-A3”, a one właśnie mają być instalowane — może posiadać moc równą efektowi eksplozji 700 000 ton trotylu. (Innymi słowy: 35 razy większą aniżeli historycznie-tragiczna bomba z nad Hiroshimę).

Ogółem zaś wszystkie frachtowce kryłyby w swych łukach ładunków niszczycielskich dziesięciokrotnie więcej od tego, który od 1 września 1939 roku do 2 września 1945 roku został zrzucony z wszystkich samolotów wszystkich państw biorących udział w drugiej wojnie światowej.

Oto jak olbrzymią siłą niszczycielską mieliby współdecydować, dzięki wspólnemu wysiłkowi amerykańskiej i radzieckiej, którzy musieli niegdyś, bombardując Guernicę, Warszawę, Rotterdam, Coventry, zadowalać się co najwyżej 500-kilogramowymi bombami załadowanymi trotylem. Nic dziwnego, że są zdecydowanymi zwolennikami koncepcji WSN.

Zwróćmy wszakże uwagę: oddanie do współzarządzania przez Bonn tak wielkiego potencjału niszczycielskiego, nie prowadzi jednak do obiecywanej przez autorów planu WSN zmiany układu sił pomiędzy Zachodem (jako NATO-wską całością) a Wschodem. Owe 200 „Polarisów” ma się bowiem przekazać do współdysponowania akcjonariuszy WSN z arsenału amerykańskiego. Tak więc WSN nie będzie oznaczać zwiększenia sił Zachodu, lecz jedynie inny podział istniejącego już potencjału. Z punktu widzenia ogólnych interesów militarnych NATO (jako antykomunistycznej całości) nic to nie da.

Lecz co będzie — rozważmy i ten problem — jeśli owe 200 „Polarisów” z głowicami, przydzieli się WSN nie z istniejącej już puli amerykańskiej, lecz specjalnie wyprodukowane, zwiększając o tę ilość arsenał rakietowo-nuklearny NATO? Wówczas także nie nastąpiłby zmiana układu sił między Wschodem a Zachodem. Obecny bowiem układ określa przede wszystkim posiadanie przez obie strony środków masowej zagłady w ilościach wielokrotnie przekraczających maksy-

malne zapotrzebowanie. Zarówno Stany Zjednoczone — czołowe mocarstwo NATO, jak Związek Radziecki — czołowe mocarstwo Układu Warszawskiego, mogłyby (teoretycznie przez jakieś niepoczytalne siły konfliktu nuklearnego, spustoszyć zaledwie ułamkową część swego potencjału doszczętnie całą strefę przeciwnika.

Tymczasem ogólny potencjał WSN ma stanowić zaledwie 25 promille (0,25 procent) potencjału, którym już obecnie dysponują same tylko Stany Zjednoczone. Tak więc nawet dodatkowe powiększenie sił NATO (jako całości) o owe 25 promille w takim samym stopniu może przyczynić się do zachwiania obecnej równowagi wielokrotnych sił niszczycielskich obu stron, w jakim — przepraszam za porównanie — polkniecie przez ratlerka muchy Tse-Tse, nadać miałyby mu wagę cwajnosą.

Wewnątrz NATOscy przeciwnicy WSN krytykują jednak nie tylko z powyższych względów dyskutowany projekt. Zdecydowana większość ekspertów Zachodu kwestionuje również militarno — techniczną wartość samej floty WSN, mającej składać się z nawodnych jednostek.

Warto od razu wyjaśnić: o tym, że wyrzutnie współdysponowanych rakiet „Polaris” mają być zaokręgowane na frachtowce, nie zdecydowała jakaś wyjątkowa przydatność tego typu okrętów. Awansowały one do klasy „nowoczesnych” tylko dlatego, ponieważ w USA postanowiono oddać sojusznikom (by rozładować ich antyamerykanizm), akcje współposiadaczy głowic termojądrowych, lecz nie chce się ujawniać przed nimi tajników tych aktualnie „siódmych cudów amerykańskiej techniki militarnej”, jakimi są okręty podwodne o napędzie atomowym.

Sprawa jest tym bardziej „delikatnej natury”, iż w pierwszej oficjalnie przedstawionej przez administrację USA propozycji stworzenia multilateralnej siły nuklearnych (uczynił to w grudniu 1960 r. sekretarz stanu — Herter, kończący właśnie urzędowanie na skutek zwycięstwa wyborczego Kennedy'ego) obiecywano dostarczyć także 5 okrętów o napędzie atomowym. Lecz w początkach 1963 roku, generalicji amerykańskiej udało się przeformować swe veto w tej sprawie. Przekonali rząd, iż nie powinien wpuszczać mieszanych załóg na okręty podwodne, gwarantujące techniczny prymat USA nad ubogimi krewnymi z Atlantyku. W ślad za tym, w Stanach Zjednoczonych zaczęto zachwalać zalety frachtowców: ich taniść i łatwość budowy. W NRF też.

Nikt jednak nie może twierdzić, że nawodne jednostki są bardziej sprawne militarne od podwodnych. Choćby w związku z udoskonaleniem systemu radiolokacji, powolne frachtowce, łatwo wykrywalne, lub po prostu śledzone bez przerwy przez najpotężniejszą na świecie,

radziecką flotę okrętów podwodnych, mają niewiele szans, by przetrwać ewentualną „godzinę zero”.

Już to świadczy, iż zwolennicy tworzenia WSN w postaci nawodnej floty, sami nie przykładają wielkiej wagi do swej tezy o militarnej niezbędności tego przedsięwzięcia. Nie o wzmożenie rzekomej obrony tak zwanego wolnego świata im chodzi.

Amerykańscy projektodawcy przedsięwzięcia — które nawet znany amerykański komentator Walter Lippmann charakteryzuje jako „amatorskie, naiwne i w największym stopniu niemądre” — chcą raczej osiągnąć cele polityczne: utrzymanie proamerykańskiej jedności NATO. Choćby za cenę zaspokojenia dążeń militarystów zachodniemieckich, sformułowanych jeszcze w 1956 roku przez Franza Josefa Straussa: „Nie chcemy być konwencjonalnymi ciurami amerykańskich rycerzy atomowych”.

W Bonn zaś kuje się żelazo skoro tylko stało się gorące. Tu, w nadreńskiej stolicy, nikt nie przejmując się brakami frachtowców. Nie o okręty bowiem chodzi, lecz o położenie jak najszybciej ręki na mechanizmie odpalania rakiet z głowicami termojądrowymi. Zostawsz już rycerzem atomowym, będzie można przesiąść się na lepszego rumaka.

Olgię Błazewicz

Sycylijski don Juan

Kolejna, czwarta już obrona don Juana na poznańskim scenie wypadła trochę mniej interesująco niż poprzednie. Poznańscy już don Juana-geometrze, dwóch don Juanów-filozofów, no i teraz don Juana-rolnika i moralistę. Ten ostatni nazywa się Liola i pochodzi z Sycylii, podobnie jak jego sławny ojciec Luigi Pirandello. Nie należy on jednak do najlepszych dzieł wielkiego dramaturga. Podręcznik historii dramatu wspomina zaledwie jego istnienie, a poza oczywistą grzywną byłby niezmiernie rzadko. Ta bowiem właśnie komedia należy bardziej do regionalnej literatury włosko-sycylijskiej niż do ogólnoludzkiej, światowej, tak jak inne dzieła autora „Sześciu postaci” i „Hen-

TEATR

ryka IV”. Poznawanie Pirandelloa poprzez „Liola” nie wydaje się więc w pełni przekonujące i nie daje widzieliśmy jakiegoś szczególnego pojęcia o tym wielkim, choć dziś już nieco przedwcześnie zastarzałym dramaturgu. Ale może ono być oczywiście źródłem dobrej i pełnej humoru zabawy o czym świadczy zresztą najlepiej ciepła reakcja widowni.

„Liola” ma, znaną nam już z filmu i powieści scenariusz, Sycylii, biedna i chłopska, podzielona między skąpych bogaczy i ubogich, ale pełen temperamentu lud. Chciwość, głód ziemi i pieniędzy, kultura, pogoń za zyskiem, a także i już chrześcijańska dbałość o pozory. Południowa egzotyka, krzykliwość, folklor sycylijski. Reżyser poznańskiego spektaklu Jowita Piękniewicz starała się wyeksponować w komedii Pirandello cała jej południową egzotykę, żywiołowość i ludowy humor. Spektakl zawiódł trochę w łagodno-wokalnych i niemal operetkowych scenkach, ale zabrzmiął wiosem i temperamentem w czysto aktorskiej interpretacji poszczególnych ról.

Aktorsko przedstawienie jest niezłe, chociaż trzeba również przyznać, że stosunkowo proste i łatwe do „zaqrania”.

Dobrze wypadły w nim role trzech mairon sycylijskich, kreowanych przez Irenę Maślinską (Croce Azzara), Halinę Winiarską (Gesa) i Danutę Witowicz (Ninfa). Solidnie w duchu starej realistycznej komedii włoskiej zagrał rolę Simona — Zbigniew Szpecht. Ładnie zreżyserował liryczną parę Miły — Aleksandra Koncwicki. Powabnie i mity zaprezentował się na scenie wianuszek sycylijskich dziewcząt otaczający sławnego uwoodziela, którego nakazał nam na scenie Rajmund Jakubowicz.

Scenografia Teresy Ponińskiej tym razem, niesłusznie, nie tak piękna jak zwykle.

Teatr Nowy w Poznaniu: „Liola” komedia Luigi Pirandello w przekładzie Zofii Jachimeckiej, reżyserii Jowity Piękniewicz i scenografii Teresy Ponińskiej. Muzyka Ryszarda Gardo. Premiera 22 listopada.

Poznańscy

pisarze



Leszek Prorok mógłby z pewnością zająć poczesne miejsce w szeregu Głównych Grodów Przemysław, gdyby nasze „głowy” doczekały się swojego Kościńskiego (patrz: krakowski „Życie Literackie”). Siedemnastoletni pobył Proroka w Poznaniu upamiętniony został jego licznymi — niedawno wyszła dziesiąta — książkami i... kierownictwem teatru lalko-

LESZEK PROROK

wego, częstymi spotkaniami z czytelnikami, nie tylko naszego miasta, na wieczorach autorskich i prelekcjach, pracą w Telewizji Poznańskiej, a ostatnio także stanowiskiem wykładowcy na UAM. Dodajmy do tego reportaże z podróży zagranicznych do krajów arabskich i Hiszpanii, do Włoch, Danii i Szwecji a także Czechosłowacji i wreszcie — upamiętniona choćby na łamach „Głosu” — szkoła... wilka morskiego na jachcie „Wielkopolska”. Przypomnijmy tu i to, że również w naszym piśmie Prorok „debiutował” w Poznaniu, drukując cykl felietonów o Gdańsku.

Ten ruchliwy bardzo tryb życia, zamyślenie do szerokiego kontaktu z różnymi środowiskami, znajduje swe odbicie w różnorodnej tematyce twórczości Leszka Proroka. Wśród utworów opublikowanych znajdujemy 5 tomów opowiadań, 4 powieści i 1 dramat (dwa dramaty — jeden o tematyce fantastycznej — grane były w teatrze). Telewizowie pamiętają także jego miniatury sceniczne.

Są chyba jednak takie sprawy, które „wciągają” Pana szczególnie jako autora?

Tak, to są przede wszystkim sprawy ludzi współczesnych, ich postawy moralne, ich stanowisko wobec różnorodnych zjawisk społecznych. Jest również w mych zainteresowaniach miejsce dla problema-

tyki ziem zachodnich. One przyniosły mi główną nagrodę w konkursie Ossolineum za powieść pt. „Wyspiarsze”. Szczególnie lubię obserwować życie szkoły, a więc młodzieży i nauczycieli. Tu wspomnę o książce, która sprawiła mi — jako autorowi — specjalną radość, ze względu na to, jak ją przyjęto w gronie młodych czytelników. Mówię o „Tarantelli” — powieści i nastolatkach. Na spotkaniach i w listach młodzież domaga się jej dalszego ciągu. Zadania te usatysfakcjonowano na razie drugim wydaniem powieści, które niedawno opuściło drukarnię. Na marginesie: druga autorska satysfakcję sprawił mi „Magnetyzm serca” — powieść, której akcja toczy się w Chodzieży... ukradziono kiedyś jej egzemplarz na urzędzonej tam wystawie. Skoro zaś już mowa o niedoświadczonych losach moich książek, przypomnia mi się jeszcze jedna: ta pierwsza. Napisałem ją jako uczeń gimnazjalny tuż przed maturą, a wydała ją poznańska Księgarnia św. Wojciecha. Był to „Dzień nad Motławą”, fragment całości zatytułowanej: „Rzeczypospolitej — diament koronny”, traktującej o prawach Polski do Gdańska. W 1939 roku Niemcy spalili ją na pl. Wolności wraz z innymi utworami polskimi.

— Wydaje mi się, że szczególnie również interesuje Pana teatr i twórczość z nim związana?

— Dramat uważa się — i chyba słusznie — za najambitniejszą formę twórczości. Chciałbym ją kontynuować, zamierzam do niej wrócić, bardzo mnie to nęci. Mój etatowy związek z telewizją ułatwił mi interesujące próby w dziedzinie — przeżywających swój renesans na małym ekranie — miniatur scenicznych. Krytyki teatralne piszę natomiast ostatnio raczej rzadko.

— Telewizja, to zdaje się specjalne Pana „hobby”. Mam na myśli nie tylko kontakt z naszym studio...

— Z telewizją współpracuję od początku jej istnienia w Poznaniu; przez 6 lat byłem kierownikiem redakcji literackiej. Telewizja interesuje mnie szczególnie jako zjawisko estetyczne, a przy tym dzisiaj już — społeczne. W sytuacji kiedy stała się ona ciekawym i masowym instrumentem podawczym, trzeba ją koniecznie „okiełznać”, by osłabić niebezpieczeństwo wpływu jej liczących jeszcze niedomagań. Z tymi zainteresowaniami wiąże się moja praca na UAM. Objąłem ją przed dwoma laty, na zaproszenie wydziału filologicznego UAM. Z inicjatywy kierownika katedry historii literatury doc. J. Ziomek zorganizowano wtedy na IV i V roku polonistykę wykłady na temat estetycznych problemów telewizji.

— Chyba nie tylko dla mnie osobście interesujące będzie Pańskie

Dokończenie na str. 2

LESZEK PROROK

Dokończenie ze str. 1

zanie o kierunku rozwoju współczesnej literatury.

— Obserwujemy obecnie wielkie przesunięcia w kompetencjach gatunków literackich. Zmienia się powieść, bo rolę dawnej powieści typu opisowego przejmują stopniowo film i telewizja. Proza będzie się najprawdopodobniej coraz bardziej nasycać elementami lirycznymi, dramatycznymi i esejistycznymi. Nurt dramatyczny w prozie czyni ją szczególnie interesującą dla telewizji. O ile adaptacja powieści na scenie jest zawsze zabiegiem zastępczym, namiastką — o tyle proza w telewizji jest czymś naturalnym, przyrodzonym. Telewizja daje jej nowe, niecałkowicie perspektyw. Charakterystycznym dla postępującej kondensacji formy jest renesans noweli — gatunku upośledzonego u nas dotąd. W Polsce tradycyjne upodobania społeczne zostały uformowane przez wielkie poezje powieściowe epoki pozytywizmu. Zaś np. w niektórych krajach romańskich nowela już wysunęła się przed powieść w zakresie obsługi czytelnika. W świecie współczesnym najbardziej upodobana wśród czytelników i coraz częściej praktykowana przez autorów formą jest mikropowieść. Znowu wrócić do telewizji, dającej preferencję jednoaktówkom, które w teatrach były zdecydowanie niekasowe.

— A Pańskie aktualne zamierzenia twórcze?

— Pracuję obecnie nad powieścią współczesną. Jak inni — nie chcę o niej napisać zbyt dużo. W każdym razie tematyka jej będzie dotyczyła pewnych zjawisk i ludzi nader egzotycznych, choć wyjętych wprost z naszego życia. W I kwartale przyszłego roku ukaże się, nakładem jednego z wydawnictw warszawskich, mała antologia polskiej poezji o morzu w moim opracowaniu; w tym samym roku wydanie również II wydanie „Wyspiarzy” — książki, która mnie osobiście jest najcenniejsza i najbliższa.

— Pan wybacz „wycieczkę osobistą” — ale to, niestety, jeszcze nie wszystkie Pańskie ostatnie zamierzenia. Zdecydował się Pan już przeciw opuścić Poznań?

— Proszę pani, ja po prostu wracam do siebie, ja jestem warszawiakiem! Na pożegnanie Wielkopolski — z którą się bardzo żyłem i z którą bynajmniej nie zamierzam zerwać kontaktów — napisałem swą ostatnią powieść o życiu Zagłębia Konińskiego pt. „Drabina Jakubowa”.

Rozmawiała: WANDA CHŁA

150 rocznica maszyny drukarskiej

Dokładnie przed 150 laty, w 1814 r. ukazała się pierwsza gazeta na świecie drukowana na maszynie. Był nią londyński „Times”.

Od czasu wynalezienia czołki przez Gutenberga była to największa rewolucja w świecie drukarskim. Dotychczasowa produkcja gazet i książek na prasach ręcznych, niezależnie od dużej pracochłonności nie pozwalała na większe nakłady. Dopiero epokowy wynalazek Fryderyka Koeniga, który wspólnie z Andrzejem Bauerem skonstruował pierwszą płaską maszynę, stał się punktem zwrotnym w drukarstwie. Już pierwsza maszyna „Timesa” pozwoliła na drukowanie 1100 arkuszy w ciągu jednej godziny. (bd)



II PLENUM KC PZPR

„Życie Gospodarcze” w artykule pod tym tytułem zwraca uwagę na specyficzny charakter II Plenum; polegał on na tym, że obrano nową metodę dyskusji o sprawach związanych z rozwojem naszej gospodarki, jako inicjatywy ideowej od dotychczasowej. Już pierwsza maszyna „Timesa” pozwoliła na drukowanie 1100 arkuszy w ciągu jednej godziny. (bd)

„Konfrontacja analizy pionowej, resortowej, z analizą w ujęciu terenowym — podkreśla tygodnik — jeżeli nawet prowadzi do ujawnienia sprzeczności stwarzających nowe alternatywy, nowe możliwości rozwiązań lub co najmniej dostarcza dodatkowe elementy wymagające zbadania. A to właśnie oznacza odkrywanie nowych rezerw rozwoju gospodarczego lub ich konkretyzację”.

PULKOWNIK SIEJE PSZENICĘ

W raporcie na łamach „Polityki” Juliusz Grodziński opisuje historię pułkownika Adolfa Kran-

O negdaj przeczytaliśmy w „Życiu Warszawy”: Pszczoły w tym roku, dzięki ładnej pogodzie, pracowały wyjątkowo energicznie. W pasiekach olsztyńskich przedsiębiorstwa „Las” przeciętna wydajność jednego ula wyniosła prawie 19 kilogramów miodu. Czy tylko dzięki ładnej pogodzie? — nasuwa się pytanie. Zwróciliśmy się z nim do kierownika Zakładu Chorób Owadów Użytkowych Instytutu Weterynaryjnego dr. Ryszarda Kostecznego. Zakład jest swego rodzaju unikatem, bowiem jako jedyny w kraju zajmuje się chorobami pszczoł.

Jak oczekiwaliśmy, uzyskane wyjaśnienia zaprzeczają decydującemu wpływowi pogody na urodzaj miodu. Same warunki klimatyczne, choć niewątpliwie ważne, nie byłyby w stanie spowodować stałego i to dość szybkiego wzrostu wydajności z pnia, jaki notujemy u nas od lat. Jeśli bowiem w pierwszych latach powojennych wybierano po 2 kg miodu z pnia, jeszcze 5 lat temu 5 kg, to obecnie mamy około 10 kg, a w pasiekach o postępowej gospodarce ocenia się w bieżącym roku tę wydajność nawet na 20 kg z pnia. Wartość produkcji pszczelarstwa osiągnęła w tym roku około pół miliarda zł. Jest to więc już poważna gałąź gospodarki.

Ale jest jeszcze inna potężna wartość pszczelarstwa, trudno wymierna, choć oczywista: wpływ pszczoł na wydajność rolnictwa, poprzez krzyżowe zapylanie roślin. Oblicza się wzrost wydajności z hektara z tego tytułu nawet na 30—40 procent! Głównie chodzi tu o sady, rośliny oleiste, koniczy, buraki nasienne, rośliny nasienne i warzywnicze. Na skutek stosowania środków ochrony roślin likwiduje się z reguły dzikie owady, które stanowiłyby armię „zapylaczek”. Temu się teraz przeciwdziałano podważając planowo pasieki pod zwarte uprawy pegeerowskie, spółdzielcze i inne. Robi się to już masowo w oparciu o sporządzoną przez Polski Związek Pszczelarzy inwentaryzację pszczół.

Jednocześnie zaś takie planowe wywożenie i rozstawianie pasiek wpływa na zwiększenie produkcji miodu, który jest cennym artykułem eksportowym, wysyłanym do ok. 40 krajów Europy i innych kontynentów (m. in. do USA, Kanady, NRF, Szwecji).

Wobec zagłady

Po II wojnie polskiemu pszczelarstwu groziła zagłada z powodu masowo szerzących się chorób: zgnilizna złośliwego, kiłki, choroby zarodnikowej, (nozema), choroby roztoczowej i innych. Państwo powołało więc do życia jedyny w Polsce zakład naukowy do opracowania metod zwalczania, organizacji zwalczania oraz rozeznania sta-

Mieczysław Skąpski

Swarzędzki unikat

nu chorób w kraju. To właśnie zakład — unikat w Swarzędzu. Na wniosek Zakładu wymienione wyżej choroby pszczoł włączono do rzędu zwalczanych z urzędu. Państwo wprowadziło obowiązek ich zgłaszania i zwalczania przy pomocy służby weterynaryjnej. Masowe badania pszczoł (niekiedy nawet 170 tys. rocznie) wykazały duże nasilenie chorób, co właśnie było przyczyną tak katastrofalnie wtedy niskiej wydajności z pnia. Cóż dziwnego — chora pszczoła, jak każdy inny stwór nie ma dość siły ani energii do pracy.

Opracowano więc w Swarzędzu metody zwalczania chorób, prowadzi się od lat masowe szkolenie zarówno pszczelarzy, jak i służby weterynaryjnej, opracowano kilka podręczników, wydano pogańki radiowe, pismo popularne artykuły. Rocznie odbywa się teraz w kraju około 70 kursów z udziałem 5—7 tysięcy praktyków i lekarzy. Z uwagi na konieczność rozszerzenia działalności powołano we wszystkich wojewódz-

Z poznańskich pracowni naukowych

twach pracownie chorób pszczoł. Zakład swarzędzki ujednolicił i synchronizuje metody działania tych pracowni. Warto zauważyć, że właśnie pracownicy Zakładu wykryli w Polsce po raz pierwszy w 1952 r. chorobę roztoczową. Opracowanie właściwych metod zwalczania tej i innych chorób, wprowadzenie nowych leków itd. zatrzymały postęp chorób, a potem spowodowały ich cofnięcie z dużych obszarów kraju.

Matka najważniejszą

Obecnie dla podniesienia zdrowotnego pszczoł wprowadza się coraz bardziej wnikliwe metody np. obowiązek badania pasiek hodowlanych produkujących matki selekcyjne i użytkowe, badanie wielokrotne pnia ojcowskiego oraz młodych zapłodnionych i niezapłodnionych matek. Idzie o to by każdy pszczelarz otrzymał pewny, wysokowartościowy materiał hodowlany gwarantujący powodzenie w dalszej pracy.

Poza pracami szkoleniowo-usługowymi Zakład prowadzi oczywiście prace ściśle naukowe, wysoko cenione, co znajduje wyraz w publikacjach w najpoważniejszych czasopiśmie branżowych świata. Ostatnio Zakład przedstawił nową struk-

turę organizacyjną zwalczania chorób pszczoł w kraju opartą o dokładną znajomość terenu, kontrolowany przewóz pasiek oraz nadzór nad pasiekami hodowlanymi.

Zakład swarzędzki dobrze się rozwija. Państwo zainwestowało w jego rozbudowę i wyposażenie miliony zł. Można jednak przypuszczać, że inwestycje te wielokrotnie się już zamortyzowały, jeśli wziąć pod uwagę efekty produkcyjne. Zakład ma dobre warunki pracy ze względu na lokalizację (liczne zakłady naukowe, w pobliżu Poznania, wysoko zaawansowane pszczelarstwo wielkopolskie, założony przy Zakładzie park z tysiącami drzew pyłko- i nektarodajnych z całego niemalże świata). Założony w tym roku przy Zakładzie skansen — muzealna pasieka z zabytkowymi pniami, kłodami stojakami i leżakami (od XVIII wieku począwszy) stanowi atrakcyjną wizytówkę Zakładu.



Na zdjęciu: kosza pomorska — ul obrazujący XVIII-wieczne barwnictwo polskie, który znajduje się w skansenie swarzędzkim.

Fot. „Głos”

Eugeniusz Paukszta

W oficynach pozawarszawskich

Jest nareszcie i spora porcja nowości rodzimego naszego Wydawnictwa Poznańskiego. Za szczególną ciekawostkę uważam almanach opowiadań pisarzy lubuskich „Podróż do zielonych wzgórz”, z przedmową Henryka Berezę. Pomysł dobry, a wykonanie? Obok utworów bardzo dobrych, są także poprawne i, co gorzej, są bardzo słabe. I tu pytanie, czy za wszelką cenę, nawet słańskich tekstów, należało koniecznie umieszczać w almanachu pełny zestaw piszących na Ziemi Lubuskiej autorów? Mimo tego zastrzeżenia, warto zalecić zwłaszcza bardzo dobre utwory I. Dowgielewiczowej, J. Koniusza i E. Wachowicza. I jeszcze jedno — skoro pełna reprezentacja, czemu zabrakło utworów Jasińskiego?

Jest wreszcie w wydaniu książkowym debiutancki tom prozy (nagrodzonej w konkursie szczecińskim) Edwarda Balcerzana „Pobyt”. Nazwisko tego autora będzie się kojarzyć z dobrą prozą, operująca śmia-

łym częstokroć, udanym i nowoczesnym warształem. A że są pewne poknięcia, zwłaszcza dłużyzny? Żle, gdyby ich nie było i w pierwszej i w drugiej książce pisarza: zawsze najbardziej niebezpieczniejsza jest w pełni obójna poprawność, dowód, że nie będzie gorzej, ale nie będzie też lepiej. W każdym razie pewne, iż narodziło się dobre pióro.

W ramach „Biblioteki słupskiej” nowy tom — „Pamiętniki nauczycieli złotowskich” z lat 1929—1939, a więc z dziesięciolecia istnienia w Niemczech niezależnego szkolnictwa polskiego. Opracował całość i opatrzył interesującym wstępem Edmund Makowski. Cieszyć się należy, iż w porę, dopóki żyją jeszcze szermierze walki o polskie słowo, opublikowano te pozycje — dokument.

Rozwija się coraz pełniej Wydawnictwo Morskie w Gdyni. Za wielką jego zasługę należy uznać fakt uprzywilejowania dopiero teraz szerokiego odbiorcy powieści wybitnego działacza kaszubskiego Aleksandra Majkowskiego „Życie i przygody Remusa”, w przekładzie (za co mu chwala!) Lecha Bądkowskiego. Bohater utworu, Remus, domokrąsny handlarz książkami i dewocjonaliami, staje się w intencji Majkowskiego jakby symbolicznym uosobieniem niełatwego losu kaszubskiego. Przez jego perypetie autor ukazuje Ka-

szubszczyznę w jej powikłaniach i nadziejach, w obyczajowości i układzie stosunków społecznych. Niełatwo jest wyczuć się w tę książkę, ale gdy to się uda, dopiero zaczyna się przeżywać pełną satysfakcję.

Monika Warneńska wydaje się specjalizować w popularnych, zbeletryzowanych biografii pisarskich. I chociaż niektórzy żoile przemilczają jej twórczość, wydaje mi się, że należy ją wysoko ocenić. Nie tylko ze względu na bezsprzeczne walory popularno-literackie. Obecnie, po „Wierszach za progiem”, odnoszących się do młodości pisarskiej Żeromskiego, otrzymaliśmy „Ostatnią Różę”, opowieść o Żeromskim na Wybrzeżu, a więc związana z końcowym okresem życia pisarza, kiedy to temat morski odegrał w jego twórczości niemałą rolę. Warneńska trzyma się ściśle faktów, nie wybiega poza nie w powieściowej fikcji. Udana i pisarsko i społecznie książka.

Trzeba odnotować jeszcze jedną pozycję: Stanisława Myśliborskiego „Wolowskiego „Szkice grudziądzkie”, popularno-naukowy wykład dziejów tego miasta, świetlującego 900-lecie swego istnienia, tak silnie związane z dziejami walki przeciw germanizmowi.

W „Ossolineum” ukazała się druga część wspomnień Zuzanny Rabskiej

„Moje życie z książką”, gdzie zmarła przed paru laty poetka, pisarka dla dzieci, publicystka i bibliofila, dzieli się swymi bogatymi wspomnieniami o czasach i ludziach, zwłaszcza o książkach, w bibliotekach, w skryżkach bukinistów, w szafach bibliofilów. Niektóre partie, choćby tyczące okresu okupacji, czyta się z wypiekami na twarzy.

W tym samym wydawnictwie ukazała się książka atrakcyjna nie tylko dla zwolenników tematu klasycznego. Aleksander Krawczuk w swoim „Cesarzu Augustie” przez ni to studium (z uwagi na ścisłość naukową podanych faktów) ni to opowieść (z uwagi na język i formę) ukazał nam tę ciekawą sylwetkę rzutowaną na tło niemieckiej epoki. Ukazał z jakimś wewnętrzny zaangażowaniem, z pasją, nieomal z namietnością. I to sprawia, iż „Cesarza Augusta” czyta się i z zainteresowaniem i z wielką satysfakcją.

Już tylko chcę odnotować na zakończenie; iż w „Ossolineum” ukazała się praca Aliny Aleksandrowicz „Twórczość satyryczna Adama Naruszewicza”, po raz pierwszy tak szeroko i wnikliwie analizująca twórczość wybitnego pisarza wieku Oświecenia.

Z książką na ty

SPÓR O METODĘ

Dwutygodnik „Prawo i Życie” (nr 24) zamieścił artykuł Kazimierza Kąkła pt. „Proces Melchiora Wańkowicza — spór o metodę”. Relacjonując sprawę sądową przeciwko Wańkowiczowi autor pisze m. in.:

„OSKARŻENIE zarzucało Melchiorowi Wańkowiczowi, że sporządził w celu rozpowszechnienia i przekazał za granicę opracowanie objętości 29 stron maszynopisu zatytułowane „Projekt przemówienia J. A. względnie substat przemówień kolejnych 4—5 mówców”. Opracowanie to dotarło do dywersyjnej rozgłośni Radia „Wolna Europa”, zostało wykorzystane w audycjach radiowych w dniu 1 i 14 lipca a następnie wydrukowane w wydawnictwie „Radia Wolna Europa” — noszącym nazwę „Na antenie”. Opracowanie Melchiora Wańkowicza zawierało informacje, szkalujące stosunki w Polsce w dziedzinie kultury narodowej (...)

OSKARŻONY nie zaprzeczył, że inkryminowany tekst został opracowany przez niego, osobiście napisany na maszynie, własnoręcznie skorygowany i wysłany za granicę „przez okazję” (...)

OSKARŻYCIEL podkreślił: „Sądzony jest nie Wańkowicz — pisarz lecz Wańkowicz — autor pażskwilanckiego opracowania”.

SĄD w uzasadnieniu wyroku stwierdził, że „za fałszywością oceny zawartej w opracowaniu przez oskarżonego materiale przemawia m. in. fakt, że M. Wańkowiczowi wydano w Polsce Ludowej po jego powrocie do kraju od 1958 r. ponad 400 tys. egzemplarzy jego utworów literackich. Po powrocie do kraju spotkał się on nie tylko z życzliwym dlań stosunkiem społeczeństwa i władz, lecz znalazł w Polsce klimat, w którym mógł swobodnie wykorzystywać swe siły i zdolności dla dobra narodu”.

„W sporze o metodę — pisze Kazimierz

Kąkol — padły w toku procesu Melchiora Wańkowicza ważne stwierdzenia:

Jedno — kładzie nacisk na stan wewnętrzny dyscyplinowania na poczucie odpowiedzialności za słowa i czyny. Poczucie odpowiedzialności i godności — wykluczając metodę rozmów z władzami za pośrednictwem dywersyjnych ośrodków.

Drugie — wyklucza zasadę immunitetu. Wyklucza zasadę bezkarności bazowanej na najbardziej choćby wymiernych zasługach, jako zasadę nie mogącą znaleźć zastosowania w przypadku, gdy dochodzi do złamania przepisów prawa.

Sprawa Melchiora Wańkowicza wykazała, że te elementarne przeciwieństwa stwierdzenia, są niestety potrzebne.

*

PONADTO: Wiesław Wernie w artykule „Troska ukarana” pisze o usługach elektrycznych, wodociągów i gazowni, które zastrzegają się przeciw ponoszeniu jakiegokolwiek odpowiedzialności za niewywiązywanie się z umów z odbiorcami („Tygodnik Demokratyczny”); Danuta Bukatowa w artykule „Młodzież dojeżdżająca wreszcie w centrum uwagi” pisze o rezultatach krajowej konferencji na ten temat. Pomoc w rozwiązaniu trudnego problemu zadeklarowali: resort oświaty, resort komunikacji i KC ZMS. („Głos Nauczycielski”). Redaktorzy naczelni „Kierunków” — Witold Jankowski, „Argumentów” Tadeusz M. Jaroszewski i „Wychowania” Wojciech Pomykało przeprowadzili dyskusję na temat „Światopoglądu i zaangażowanie społeczne”. Ciekawe. („Kierunki”). Krytycznie (bardzo) o poznańskim Klubie „Od nowa” pisze tygodnik „ITD”.

LEKTOR